

M. JOKAJ.

RODZINA BARDY

NOWELA.

2)

— Nie przeczę. Jestem nawet przekonany, że owoców tych usiłowań nie będę zbierał ani ja, ani nawet mój następca, wiem, że z tych, których imię dziś tak głośnie, za kilka lat nie będzie żyć ani jeden, a za tymi, którzy zginęli, nie popłynę ani jedna łódka i nieszawa, lecz może hańba i gorzkie przekleństwo spoczną na ich prochach; ale przyjdzie czas, który na fundamentach przez nich założonych wzniesie ten olbrzymi budynek i wymierzy sprawiedliwość tym, którzy oliarowali się szczęściu przyszłych pokoleń. Pięknie to zginąć dla ojczyzny, ale mordować dla ojczyzny, ale schodząc do grobu z przekleństwem tysięcy, umrzeć dla sprawy tych tysięcy i być wzgardzonym, wyklętym, to rzecz olbrzymia, poślanicza.

— Synu, jedyny mój synu! — krzyknął ojciec płacząc i złamany padł na piersi młodzieńca, szlochając gorzko. — Czy widzisz te łyzy?

— Widzę, ojciec. Pierwszy raz w życiu widzę cię we łzach. Dusza moja ugina się pod ciężarem tych łez. Masz powód do płaczu nademną, bo nie przyniosę twej siwej głowie radości, sławy, a przecież pójdę. Idea silniejsza, niż żądza sławy, większa od miłości ojczyzny rozświeca mi duszę, a że ta wiara jest silna, niech to świadczy, że widząc łyzy twoje — odchodzę.

— Idź — jęknął ojciec złamany. — Być może że zginiesz i nie zobaczę cię więcej, być może, że powracając, nie zastaniesz rodzinnego domu i nie znajdziesz mogiły, pod którą spoczywa twój ojciec. Wiedz, że cię nie przeklinał ani w chwili mojej, ani twojej śmierci. Zostaw mi! — Odwrócił się, dając znak synowi, aby się oddalił.

W milczeniu wyszedł z komnaty, pozwalając płynąć łom rzeszście, płakał, kiedy tych łez nikt nie widział, ale kiedy przy pierwszym kroku zabrękała szabla, na twarz młodzieńca wróciła dawna zimna rezygnacja, a miejsce łez zastąpił wyraz odwagi.

Pobiegł pożegnać się ze swym stryjem Józefem.

Ten siedział w gronie rodziny. Bliźnięta bawiły się u jego nóg na ziemi, on sam bawił się z niemowlęciem, przed którym kryła się matka i które głośnie śmiechem wybuchało, ile razy głowa matki ukazała się poza krzesłem ojca.

Brzęk szabli Emeryka przerwał zabawę rodziny. Bliźnięta pobiegły naprzeciw stryja, podziwiając jego szablę, gdy tymczasem niemowlę zaczęło płakać na widok zbliżającego się młodzieńca w uniformie, którego nie poznało.

— A cicho dziecko, cicho — uspokajała je matka, odbierając od ojca dziecko. Strycio idzie na wojnę i przyniesie ci złotego konika.

Józef ścisnął rękę młodzieńca i rzekł:

— Niech cię Bóg prowadzi; — a potem dodał cicho: „Najdzielniejszym jesteś w całej rodzinie. Dobrze zrobiłeś”.

Potem ucałowano go po kolei i puszczono dalej wśród wesołej wrzawy.

Stąd udał się do babki. Po drodze spotkał się z drugim stryjem, z tym olbrzymem, który wyścikał go w milczeniu, a potem uciekł, nie wyrzekłszy ani jednego słowa, ani jednego nie wydawszy głosu.

Staruszka siedziała w poręczowym krześle na kółkach, nie mogąc chodzić oddawna. Na brzęk szabli zapytała: kto p. zyszedł?

Mała, jasna dziewczynka, z rumieńcem na twarzy i gwałtownie bijącym sercem odrzekła: — Emeryk.

Z jakim zapalem, z jakim uczuciem wymówiła to imię!

Dziewica uczuła, że ten młodzieniec jest dla niej czemś więcej, jak dalekim krewnym i właśnie dlatego, że dalekim, to uczucie, które ją uczy marzyć, jest czemś więcej nad miłość braterską.

W pokoju oprócz nich znajdowała się wdowa w żałobie i ten siedzący kaleka ze znękaną twarzą.

— Po co ta szabla, Emeryku? — zapytała drżącym głosem staruszka. — Oj zły to świat, zły. Któż zdoła odwrócić od nas, co Pan Bóg wymierzył? Dziś we śnie rozmawiałam znowu z moimi umarłymi. Zdawało mi się, jakby przy-

chodzili uzbrojeni i mnie wołali do siebie. Jestem przygotowana, z pokorą oddaję Bogu ducha mego. Przeszłej nocy dwa razy widziałam wypisany ognistymi cyframi rok 1848. Kto wie, co to będzie. Niedobre to czasy, niedobre. Po co ta szabla, Emeryku? Wojna będzie... Rozmnożyli się ludzie bardzo, nie mogą się pomieścić...

Emeryk w milczeniu schylił głowę i pocałował rękę staruszki.

— A więc idziesz? Niech cię Bóg prowadzi, a mijając krzyż po drodze, nie zapomnij westchnąć do Pana życia i śmierci — rzekła siwa babka i kładąc ręce na głowę wnuka, szepiała: „Niech cię błogosławi Wszechmocny”...

— I mój mąż był taki młody, przystojny, kiedyś go utraciła — westchnęła kobieta w żałobie, a ściskając młodzieńca rzekła: „Uważaj na siebie”.

Mały kaleka zanosząc się od płaczu, objął kolana brata i błagał wymuszonym głosem, żeby się nie bawił długo, bo on się będzie bał w domu.

Na ostatku przyszła kolej pożegnać się z Jolaną.

Ze spuszczonej w dół oczyma zbliżyła się ona do młodzieńca, który tak pięknym, dzielnym wydawał się jej w uniformie i białą rączką przypiętą mu do piersi płócikolorową kokardę: niebiesko-złotą i czerwono-białą-zieloną.

— Rozumiem — rzekł z zapalem młodzieniec, przyciskając do serca lubą dziewczę. — To są barwy Siedmiogrodu połączone z barwami Węgier.

Dziewica pozwoliła się uściskać, a kiedy się rozwinęły obejmujące ją ramiona, rzekła z boleścią:

— Nie zapominać o mnie.

— Żyć nie będę, kiedy cię zapomnę.

Pocałował dziewczynę w czoło, rzucił krewnym jedno: „Bądźcie zdrowi”, wcisnął czerwone czako na głowę i znikł.

Brzęk szabli sprowadził go po schodach.

W małej izdebce na dole mieszkał stary krewny, zagladnął do niego na pożegnanie. Pocztowy stary Szymon rzekł, dodając mu otuchy:

— No, synu, a zabijeś tam dużo Turków.

— Nie będziemy się bić z Turkami — odpowiedział z uśmiechem młodzieniec.

— No to Francuzów — poprawiał starzec ze złości stulecia.

W bramie czekał na niego koniuszy z dwoma osiadanymi kofimi.

— Nie potrzebuję cię. Możesz zostać w domu — rzekł do niego Emeryk. Ujął jednego konia za uzdę, wskoczył na niego, zsunął pod brodę przepaskę od czaka, a dawszy ostrogi rumakowi, popędził.

Kiedy dojechał do krzyża, zapomniał wprawdzie o napomnieniu babki, ale przyszła mu na myśl ta mała blondynka. Obejrzał się. W jednym oknie powiewała biała chusteczka.

— To ty tam jesteś, moja pociecho, ty spoglądasz za mną — szepnął młodzieniec i rzucił w powietrze dwa całusy, pędząc na dół siromymi zakrętami.

* * *

Szczegółne to były czasy.

Naraz poczęły się wyludniać wioski, poukrywali się ludzie, a nikt nie wiedział gdzie, pozamykano prawie wszystkie domy, wieczorem nie było słyhać głosu dzwonów, ani śpiewu wracających z roboty dziewcząt i tylko psy wałęsały się po ulicach, zarastających trawą.

Emeryk Bardy nie spotkał ani żywej duszy, pędząc w dolinie ulicą małej wioski. Nie wznosił się dym z kominów i nie błyszczał ogień przez szyby chat. Któż wie, gdzie podziła się ludność!

Już się zaczęło zciemniać. Lekka przezroczysta mgła rozpostarła się nad doliną. Emeryk chciał przed świtem stanąć w Klausenburgu ijechał dalej nocą.

Około północy ukazał się za górami księżyc, rozlewając srebrzystą swą barwę po żółknących liściach; młodzieniec jechał dalej między górami i skałami.

Cicho było wszędzie, tylko monotony ten-tent kopyt kofiskich odbijał się o skalistą drogę. Młoty hut i kuźni milczały wszędzie.

Emeryk zadumany siedział w siodle, kiedy naraz zatrzymało się w biegu rozumne zwierzę i strzygąc uszama, poczęło się cofać.

— No, no — ozwał się młodzieniec — jeszcze niema tu ognia działowego, a już się boisz.

Koń szedł dalej, ale ciągle bojaźliwie łeb obracał i rżał niespokojnie.

W jednym miejscu droga prowadziła między dwoma skałami, które wydawały się, jak dwie rozpęknięte połowy. Przed tą wąską drożyną ciągnie się przepaść, nad którą z lichy ociosanych belek rzucono mostek.

Kiedy dojechał jeździec do mostu, koń wspiął się i obrócił z nim, nie chcąc pomimo ostróg wstąpić na most, ale stanął przed nim, kopiąc ziemię nogami.

Jeździec uniesiony ścisną przeleknione zwierzę i uderzył mocno po szyi, poczem jednym skokiem przerzucił się rumak przez dwusążniowy most i tam znowu się obróciwszy, poczał się cofać.

W tej chwili, kiedy koń most przeskoczył, odezwał się przeraźliwy wrzask z rowu pod mostem, a na to rozległo się ze szczytu skały echo, lub może odpowiedź jaka; z pod mostu ukazało się naraz dziesięć do piętnastu brudnych postaci z wyprostowanymi w rękę kosami.

W tej samej chwili ukazał się tłum zbrojnych w rozpadlinie, przez którą prowadziła droga.

Jeszcze miał czas cofnąć się i przebiec przez mniej liczną bandę w tyle, ale wstydził się pierwszą bitwę rozpoczynać odwrotem, a może gardził tą hołotą, lub konieczne chciał być w Klausenburgu na oznaczoną godzinę; zamiast więc cofnąć się popędził naprzód, skąd walił się tłum uzbrojony w kosy i cepy.

— Z drogi! — krzyknął z blizka Emeryk na hołotę, z której dwóch uczepiło się jego konia, a reszta rzuciła się na niego z kosami.

Rozległo się dwa strzały; Emeryk puścił wolno konia wśród kos niezgrabnie wywijanych w powietrzu, zabłysła jego stalowa szabla, syjąc iskry i rozdzielając razy na wszystkie strony, a upatrzywszy stosowną chwilę, kiedy napastnicy poczęli się przed nim cofać, wyskoczył z tłumy i popędził ku rozpadlinie skały.

Nie spostrzegł, że na szczycie stoja ludzie z ogromnymi kamieniami, którzy go zamordują, skoro tylko bezbronny w przesmyk się dostanie.

Już tylko kilka sążni oddzielało go od rozpadliny, skąd żywym nie byłby wyszedł, kiedy nagle ze skały skoczył olbrzymi mężczyzna i chwycił tak silnie konia za cugle, że ten stanął dęba.

Na głowie olbrzyma siedział rzymski hełm miedziany, w lewej ręce trzymał dwie stopy długi, szeroki miecz.

Młodzieniec ciał napastnika w głowę, hełm do połowy przecięty upadł na ziemię, a z nim razem złamana szabla, gdy tymczasem na dwóch nogach stojący koń stracił równowagę i rzucił o skałę jeźdźcę, który zemdlał w skutek upadku i został na ziemi.

W tej chwili padł strzał ze skały, wymierzony na młodzieńca.

— Kto strzelił? zagrmiał głos olbrzyma. Krwiożercza tłuszcza wołoska*) z dzikim wrzaskiem rzuciła się na bezbronną oliarę, która bezwładna leżała w pyle.

Silniej nad ten wrzask śmiertelny grzmiał głos olbrzyma.

— Kto strzelił na mnie?

Wołos jak wryci stanęli około niego.

— Ja nie na ciebie strzeliłem trybunie, ale na huzara — wyjąkał jeden z nich, którego bystry wzrok olbrzyma przykuł do miejsca.

— Kłamiesz zdrajco, kula twoja uderzyła o mój pancerz i gdyby nie koszula stalowa leżałbym już trupem. — Ciebie nieprzyjaciel podplacił, abyś mnie zabił.

Odpowiedź obwinionemu zamarta na ustach.

— Powiesić go, to zdrajca!

Tłum rzucił się wściekle na obwinionego, a uniósłszy go w powietrze przywiódł go blisko stojącego drzewa; krzyk był dowodem, że się odbywa egzekucja.

*) Po wybuchu powstania węgierskiego w r. 1848. ludność innoplemienna jakoto: Kroaci, Serbowie, Słowacy i Rumuni czyli Wołosie działali wspólnie przeciwko Węgrom. Partykularne te powstania podsycone ze strony rządu siły pod przewodnictwem rżów, jak np. kroackie pod Jellacicem słowackie pod Hurbanem proboszczem z górnych Węgier, a Rumuni pod Abrahamem lanku rządowym kancellisą. Ci ostatni wywodząc się od Rzymian osiadlichu po zwyciężeniu Daków, przybierali w tem powstaniu tytuły rzymskie. Bohater powieści zwiase też „trybunem”. Dodać jeszcze winienem, że Rumuni w tej walce niesłychanych dopuszczali się okrucieństw; dnia 19 maja zrabowali i spalili kwitnące miasto górskie Abrudbánya w Siedmiogrodzie, a mieszkańców Węgrów w pień wycięli. (Przyp. tłómacza).